Cena 1·80 zł



Winieta tytułowa »Orlego Lotu« z roku 1920

Rok XXIV | Listopad—Grudzień 1950 | Nr 10—11

Zamek w Pabianicach

Krajoznawstwo w Z. S. R. R.

O. S. JUSUPOW.

Pozaszkolna praca krajoznawcza.

(Dokończenie)

Podczas lata 1941 dokonaliśmy udanej pracy nad badaniem strumienia w leśnym kordonie nr. 3. Młodzi topografowie przerysowali cały strumień na plan, podzielili koryto na 6 równych działek, ponumerowali stacje i zaznaczyli je na planie i na terenie. Każda z tych sześciu grup składała się z geografa, botanika i mineraloga i rozpoczęła szczegółowe badania koryta i brzegów strumyka. Robiono rozkopy, przemywano szlichty; wymierzono i wyliczono zużycie wody, kreślono przekroje koryta rzeczki, opisywano i zbierano próbki przybrzeżnych roślin. Po opracowaniu całości materiału otrzymano monografię, skromnego, bezimiennego, leśnego strumyka, który przez rok cały wesoło płynie z góry do jeziora. Strumyk okazał się złotonośnym. W korycie znaleziono kryształy magnetytu i aranatu. Młodych krajoznawców pociągały szczególniej kryształy aranatu. Pewnego dnia przy przemywaniu szlich znaleźli oni drobny, różowy piasek aranatów. Od tego czasu, całymi dniami, chłopcy i dziewczęta szukają, przekopują całe koryto. Wszędzie widzi się schylone postacie, opuszczone głowy, wszyscy mają probierki z doborowymi kryształikami.

Koło sierpnia nasi myśliwi dotarli do głównych łupkowych warstw aranatów, które woda podmyła.

Podajemy urywek z dziennika poszukiwaczy:

„Zupełnie nieoczekiwanie zapanowała w obozie „gorączka aranatów". Wszyscy bez wyjątku szukają teraz aranatów; przemywają szlichy, przebierają, sortują, ważą, rywalizują między sobą: Kto znajdzie najbardziej przeźroczysty kryształ aranatu? Czyj kryształ ma najbardziej prawidłowy kształt? Kto znajdzie największy?

Wszystkie wolne chwile poświęcają dzieci na wybijanie przy pomocy młoteczka, którego używają do badań geologicznych, kryształów aranatu z miejsc widocznych, gdyż dotarli do głównych pokładów. Niektórzy spędzają całe godziny na rzeczce, potem w laboratorium oglądają uważnie zebrany piasek przez lupę, powiększającą 20-krotnie lub nawet przez mikroskop.

(Wiśniowego koloru piasek aranatów — cudowny materiał dla szlifierzy do szlifowania i polerowania, twardość — 8. Spotyka się kryształy od ciemno-czerwonego do jasno-różowego koloru.

Nasze dziewczynki marzyły o takim doborze aranatów z koryta rzeczki, aby można było zrobić z nich naszyjnik.

Ta bezimienna, skromna, leśna rzeczka nie oznaczona na mapie nawet o skali stu tysięcy.

5-go sierpnia 1941 roku po porozumieniu się z miejscowymi leśnikami nazwaliśmy rzeczkę Aranatką, zbadali ją na całej rozciągłości. Uroczyście oznaczyli po raz pierwszy na mapie (dalej idą podpisy 15-tu członków kółka i pedagogów).

Od leśników dzieci odebrały rodzaj przysięgi nazywania rzeczki Aranatką.

Lato spędzone na brzegu tej rzeczki dotychczas pozostało w pamięci wszystkich badaczy; na zawsze pamiętali dni pełne radości, przyjaźni i prawdziwie romantyczne.

Po dwóch latach, w r. 1943 z grupą uczących się z czwartej, piątej i szóstej klasy, którzy przyjechali do obozu pionierów do Białojarskiego rejonu, rozpoczęliśmy badanie rzeczki Rusianej, która wpada do Iseti koło wioski Czarnousy. Prócz zwykłych w tych warunkach zbiórek kolekcji botanicznych, zoologicznych i mineralogicznych, hydrologicznych pomiarów i topograficznych zdjęć terenu wzdłuż rzeczki, młodzi krajoznawcy znaleźli w korycie jakieś buro - czerwone brązowe rurki, jakby wypalone z gliny. Można było nizać je na nitce jak paciorki. Te zagadkowe „paciorki" braliśmy z początku za ozdoby człowieka pierwotnego, ślady którego często spotyka się na Uralu; po pewnym czasie przyszliśmy do przekonania, że te znalezione rzeczy to pozostałości dawnych zwierząt. 400 pionierów brodziło po korycie rzeczki w poszukiwaniu coraz to nowych rurek. Zebrana dzięki ogólnym wysiłkom kolekcja rurek, gałązek, kulek, narośli, jak również przekroje, które robiliśmy, udowodniły nam, żeśmy się mylili, że mamy do czynienia z wytworem bakterii, stanowiących osad brunatnego żeleziaka.

Jak wielką była nasza radość, kiedyśmy za pośrednictwem gazety „Prawda Pionierska" otrzymali odpowiedź od N. Prianiszkowa, doktora nauk przyrodniczych, który pisał:

„Kochane dzieci: Żora i Oleg byli najbliższymi rozwiązania zagadki. Rurki, któreście znalazły — to osad brunatnego żeleziaka. W wodzie, która zawiera dużo żelaza, żyją specjalne, „żelazne" bakterie. Dzięki ich działaniu następuje wydzielenie i osiadanie żelazistych substancyj na korzeniach, odłamkach gałązek roślin".

Naonczas centralny sztab ekspedycji dla badań rodzinnego kraju przyznał naszej grupie I nagrodę.

Do pomocy dla naszych kółek zapraszamy wykwalifikowanych specjalistów z miasta w charakterze konsultantów, lektorów, kierowników niektórych wycieczek. Utrzymujemy stałą łączność z muzeami, organizacjami naukowych badań z filią uralską Wszechzwiązkowego Stowarzyszenia Geograficznego.

Najbardziej doświadczony pedagog-kierownik kółka, gdyby nawet stale się udoskonalał i wiedza jego wzrastała, nie może ograniczać pracy kółka do kręgu swych osobistych możliwości.

Działacze społeczni, krajoznawcy, uczeni, rodzice, pedagodzy, którzy systematycznie pomagają w pracy stowarzyszeniu, wybierani są na walnym zgromadzeniu jako honorowi członkowie stowarzyszenia „Globus". Wręcza się im uroczyście dyplomy honorowe (par. 9 statutu Stowarzyszenia).

9. Siłą rzeczy kółko nie może zamknąć się w czterech ścianach i dlatego jedną z najważniejszych zasad pracy w naszych kółkach jest stała łączność ze szkołą, metodykami, rodzicami, przodownikami pionierskimi, zamiana doświadczeń swojej pracy z innymi kółkami i dziecięcymi stowarzyszeniami.

Przestrzegamy ściśle realizacji par. 13 naszego regulaminu: „Sprawozdawcza, samodzielna praca każdego członka stowarzyszenia, rozpatruje się i roztrząsa w obecności ucznia, jego rodziców i przedstawicieli społeczności".

Publicznie uczyniony przegląd pracy uczniów powiększa w nich poczucie odpowiedzialności i wzbudza zainteresowanie rodziców do spraw kółka.

Członek stowarzyszenia „Globus" musi być społecznikiem. W szkole powinien być pomocnikiem przodownika pionierów i pedagoga, organizatora pracy uczniów nad krajoznawstwem i turystyką, propagatorem wiedzy i praktycznych przyzwyczajeń, nabytych w kółkach „Globus". Każdy członek stowarzyszenia powinien zastosowywać w praktyce w swoim oddziale, klasie i szkole samodzielne pomoce naukowe, przygotowane w zakresie „Globusa" i przekazywać doświadczenia w pracy swej szkoły na usługi członków stowarzyszenia (par. 15 regulaminu).

Z prac krajoznawczych młodzieży

(Materiały nadesłane przez Koło Krajoznawcze Uczniów I. P. Szkoły Ogólnokształc. stop. licealnego im. J. Śniadeckiego w Pabianicach).

Stare zabytki miasta Pabianic

Pabianice mają bardzo piękne zabytki architektoniczne, pochodzące z wieku XVI; są nimi: zamek, oraz stary kościół pod wezwaniem św. Mateusza. Zamek pabianicki, dawna siedziba dzierżawców dóbr pabianickich inaczej wyglądał dawniej, niż dziś. W rogach dworu stały cztery wieżyce, a ponad budynkami wznosiła się wysoka wieża z zegarem. Przed wejściem do dworu stała baszta, od której do wieży przeprowadzony był zwodzony most. Od strony Dobrzynki znajdowała się druga baszta, strzegąca mostu.

W roku 1565 powstaje nowy zamek murowany, do którego w dużej mierze przyczynił się Stanisław Dąbrowski, tenutariusz dóbr pabianic-

kich. Zamek ten o kształtach wielce estetycznych to prawdziwa chluba naszego miasta. Budowany on jest w stylu lekkiego renesansu krakowskiego. Stylem swej budowy przypomina ratusz w Sandomierzu, w Szydłowcu, oraz krakowskie Sukiennice. W planie jest to budynek prostokątny, mający w rogach dwa wyskoki. Jest to budynek jednopiętrowy, którego okna są umieszczone we wnękach, utworzonych przez gotyckie szkarpy, które pod attyką łączą się lekkimi łukami. Piękną ozdobą zamku jest efektowna attyka, której estetycznie sfałdowany grzebień zakrywa dach. W attyce do dnia dzisiejszego zachowały się otwory, w których mieszczą się rynny, a kiedyś żygacze (żygacze —



Hołd mieszczan pabianickich przed królem Władysławem Jagiełłą w r. 1432

rynny, długie, drewniane służące do odprowadzania wody). Całość budynku wywiera bardzo miłe wrażenie. Nad kilku oknami na tarczach znajdują się trzy korony — herb, Aaron Kapituły Krakowskiej. Nad jednym z okien pierwszego piętra znajduje się napis wykuty w kamieniu:

„Sic Transit Gloria Mundi" — (tak przemija chwała świata).

Od strony rzeczki Dobrzynki znajduje się herb Poraj: S. D. (litery oznaczają imię i nazwisko założyciela, owego Stanisława Dąbrowskiego).

Na parterze są silnie sklepione izby z gotyckimi wcięciami dla okien. Komnata ostatnia od strony północnej odznacza się sklepieniem półkolistym. W roku 1917 w izbie tej wykonał bardzo piękne malowidła

na ścianach malarz pabianicki J. Szulc. Malowidła te przedstawiają: kościół św. Mateusza, pobyt króla Władysława Jagiełły w Pabianicach w roku 1432, Mikołaja Kopernika, oraz późniejsze zabytki miasta, jak dom przy ulicy św. Jana, oraz kościół ewangelicki. Na dole w murze są dwa wąskie okienka, możliwe, że służyły one za strzelnice w dawnych czasach. Na piętrze w komnacie górnej znajduje się piękny kominek — dziś odnowiony, oraz przy klatce schodowej oddrzwia.

W roku 1833 do 1946 zamek był siedzibą Magistratu miasta Pabianic. Obecnie znajduje się tutaj piękne muzeum, posiadające bardzo ciekawe eksponaty tak z dziedziny prehistorii, jak z przyrody, oraz



Widok Zamku i kościoła św. Mateusza w Pabianicach

zbiory regionalne. Do ciekawych należy zaliczyć zbiory z Afryki oraz Azji, ofiarowane przez doktora Wł. Eichlera, obecnego prezesa Towarzystwa Krajoznawczego w Pabianicach.

Drugim zabytkiem jest kościół św. Mateusza, powstały również w wieku XVI. Szczęśliwym momentem jest napis zrobiony na odrzwiach przez murarza. Był nim Jakub Fusski. Napis brzmi:

„Jakub Fuski muljarz krakowski rękami własnemi I. N. R. I. 1585"

Dzięki temu wiemy, że Polak budował kościół. Kościół ten został zbudowany w stylu gotyckim, lecz pod wpływem pożarów częstych i różnych przeróbek stracił swój pierwotny styl. W północnej ścianie kościoła jest wmurowany kamień z herbem przypominającym herb

Krakowa. Herb przedstawia mur z trzema wieżycami i otwartymi wrotami. Wokół herbu litery: P. G. C. C. Są to prawdopodobnie szczątki portalu głównego. Z zabytków wewnątrz kościoła oprócz tablic pamiątkowych ku czci Judyty i króla Hermana mamy jeszcze zabytek z XVI wieku w postaci nagrobka ku czci Anny Sułowskiej, córki tenutariusza.

Obraz znajdujący się w kruchcie po lewej stronie, a przedstawiający śmierć bp. św. Stanisława. Kościół ten posiada siedem ołtarzy: jeden główny i sześć bocznych. Była niegdyś, nawet jeszcze w 1924 r. biblioteka, zawierająca bardzo ciekawe zabytki. — Co się z nią stało? Nie wiadomo. Biblioteka owa ukryta była za obrazem w murze.

Opracował: **Stanisław Napieraj.**

WYBITNIEJSI PABIANICZANIE.

Pabianice mogą poszczycić się wielu wybitnymi rodakami: Andrzej z Pabianic (1458 — 1472) zajmował urząd szafarza królowej Elżbiety; Maciej z Pabianic (1462, 1468) był benedyktynem, jako przepisywacz starych rękopisów; Bartłomiej syn Marcina (1530 r.) był przełożonym zakonu Cystersów; Stanisław Zając (1522—1602) był proboszczem kaplicy Zygmuntowskiej w Krakowie na Wawelu, gdzie znajduje się jego tablica nagrobkowa.

W drugiej połowie XVI wieku wsławił się w Europie Szymon Latkowski — rycerz. W ostatnich czasach Maksymilan Baruch — historyk. Urodził się 26. VII. 1861 r. w Pabianicach. W 1887 r. skończył wydział prawniczy. Jest prawnikiem kolejno: w Piotrkowie, Łodzi i Warszawie. Jeszcze jako student w latach 1878 — 1887 publikuje materiały historyczne dotyczące Taszyna w czasopiśmie „Tydzień". W 1903 r. wydaje źródłowe dzieło p. t. „Pabanice, Rzgów i wsie okoliczne", oraz w 1930 roku „Studia i szkice historyczne". Było to ostatnie dzieło, jakie wydał ten zasłużony dla naszego miasta uczony. Pisał jeszcze dzieła, między innymi o Warszawie i Łodzi. Pabianice uczciły zasłużonego rodaka, nazywając w 1928 r. jedną z ulic Pabianic ulicą Maksymiliana Barucha. Jako literat - krytyk wsławił się znany nam Jan Lorentowicz, Andrzej Pszenicki — rektor politechniki Warszawskiej. W malarstwie zasłużył się artysta europejskiej sławy, nagrodzony złotym medalem w Paryżu Bolesław Nawrocki. Urodził się w 1877 r. Wsławił się, malując obrazy w 1904 r.:

„Przyjęcie Królestwa Włoch przez Radę Miejską m. Paryża".

Obraz ten znajduje się w Paryżu, oraz „Apoteoza przyjaźni Włosko - Francuskiej". Ten ostatni znajduje się w Pałacu na Kwirynale w Rzymie. Nawrocki był wziętym portrecistą. Zmarł w 1946 r. w Pabianicach i został pochowany na Powązkach w Warszawie w kwaterze zasłużonych.

Do wybitniejszych Pabianiczan zaliczyć należy Pabianiczankę: Jadwigę Wajsównę — dyskobolkę światowej sławy.

Opracował: **Zdzisław Cetnarowicz.**

PRZECHADZKA PO PABIANICACH.

Zapada już mrok. Idę wraz z kolegą przez ulicę Zamkową z wielką ostrożnością, gdyż po godzinie 17-tej w dni powszednie nie wolno nam łazikować po mieście.

Najbardziej jednak boimy się pewnego profesora, który po zobaczeniu ucznia na ulicy o późnej porze, pyta go nazajutrz ze swego przedmiotu. Nie radziłbym żadnemu z czytelników stać przy tablicy i trząść łydkami i szczęką. Na myśl o pytance gęsia skóra pokrywa me ciało.

Byliśmy w Bibliotece Miejskiej przy ulicy Garncarskiej nr. 7. Biblioteka Miejska powstawać zaczęła w roku 1945, w kilka tygodni po zakończeniu działań wojennych.

Zrobiłem wywiad z młodą, uśmiechniętą bibliotekarką, dotyczący czytelników.

— Czy mógłbym wiedzieć, ilu czytelników wypożycza książki z biblioteki?

— Tak. Książki w naszej bibliotece wypożycza przeszło tysiąc pabianiczan, w liczbie ich jest także kilkunastu czytelników zamiejscowych, przeważnie wieśniaków z pobliskich osad. Większość czytelników stanowią uczniowie. Młodzież najczęściej czyta książki zalecone do lektury szkolnej, a więc Żeromskiego, Rodziewiczówny, Sienkiewicza i Kraszewskiego. Największe powodzenie mają książki historyczne. Wywiadu z bibliotekarką nie mogę zbyt długo przeprowadzać, gdyż musi ona załatwić czekających na wypożyczenie książek czytelników.

Na stole leży kilkanaście katalogów, a do najciekawszych obok powieści, należą katalogi książek w języku obcym, geograficzne, historyczne, prawnicze, podróżnicze i t. p. Grupa koleżanek przerzuca kartki katalogu: „Dla panienek" i zapisuje numery interesujących je książek. Mimowoli powstaje mi myśl: dlaczego istnieje tego rodzaju katalog?

Chciałem zobaczyć, jakie książki wynotowały koleżanki, lecz nie mogłem zdobyć się na odwagę, gdyż lepiej, jak to mówi jedno ze staropolskich powiedzonek: „nie kłaść palca między drzwi". — Dziewczęta są bardzo cięte w języku i mogłyby ze mnie zrobić „fajtłapę" lub „kataryniarza".



Na ulicach zapadł już zmrok. Zapłonęły latarnie uliczne. Pod nogami robotników, powracających z pracy skrzypi niebieskawy, popiołem pokryty śnieg. Miasto w tym czasie jest bardzo ruchliwe. Ogromnie lubię zakątki ciemne i ciche, gdyż każdy przedmiot wydaje się wówczas

okryty dziwną powagą i tajemniczością. Najprzyjemniej jest jednak o zmroku oglądać wierzchołki kościołów: św. Mateusza i Najśw. Marii Panny.

Na ulicy Zamkowej zadzwonił tramwaj, podążający w kierunku stacji kolejowej, w podwórzu kamienicy, obok której przechodziłem, wieśniak przeklinał siarczyście konie. Z olbrzymich kominów fabrycznych buchają szare kłęby dymu. Rytmicznie biją serca Pabianic — maszyny. Stąd to rozprowadzi się po całej Polsce, a także poza granice materiały bawełniane, chemiczne i papiernicze.

Pabianice są zamieszkałe przeważnie przez ludność robotniczą, która chce pracą swą wraz z innymi obywatelami naszego państwa wykuć nową rzeczywistość. Wielu pabianiczan zginęło w czasie ostatniej wojny w walce z okupantami, ale pamięć o nich nie zaginie wśród mieszkańców naszego miasta.

Opracował: **Hieronim Rozenberg.**

WSPÓŁCZESNY PRZEMYSŁ PABIANICKI.

Największą fabryką włókienniczą w Pabianicach są obecnie: Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego. Wyrabiane są różnego rodzaju materiały, między innymi wata lekarska, bandaże itp. Osobliwością jest produkcja płótna do opon i materiału na spadochrony. Mamy też w Pabianicach Państwowe Zakłady Przemysłu Wełnianego, Państwowe Zakłady Przemysłu Jedwabniczo - Galanteryjnego i Państwową Fabrykę Konfekcyjną. Wspomnieć też należy o dużej ilości małych warsztatów tkackich, przeważnie chałupniczych. Wymienić tu jeszcze należy znaną w całej Polsce fabrykę żarówek L—I, fabrykę przemysłu kluczowego, szwalnię mechaniczną i fabrykę materacy.

Równolegle z przemysłem włókienniczym rozwija się w Pabianicach przemysł metalowy, chemiczny oraz papierniczy. Do nich należą następujące fabryki: Pabianickie Zakłady Chemiczne, następnie Pabianickie Zakłady Papiernicze, produkujące papier wysokogatunkowy, Fabryka Maszyn i Odlewnia Żelaza, wyrabiająca między innymi maszyny tkackie, oraz Państwowa Fabryka Pasów Skórzanych. Istnieje także na naszym terenie duży młyn parowy, należący do Państwowych Zakładów Zbożowych. Młyn taki zdolny jest zemleć w ciągu doby 500 ton ziarna.

Na uwagę zasługuje również fabryka gilz przędzalnianych oraz fabryka obuwia. Poważną pozycję stanowi tuczarnia drobiu. Pabianice posiadają również dwie fabryki mebli.

Miasto nasze jest więc wybitnie przemysłowym. Przeważa ludność robotnicza.

Opracował: **Wojciech Strzelecki.**

KILKA SŁÓW O NAJWAŻNIEJSZYCH INSTYTUCJACH W PABIANICACH.

Obecnie w Pabianicach mamy 10 szkół podstawowych, w tym jedna świecka T. P. D., 2 jedenastolatki ogólno-kształcące. Szkolnictwo zawodowe obejmuje: gimnazjum i liceum handlowe, gimnazjum i liceum mechaniczne, średnią szkołę zawodową, gimnazjum papiernicze i gimnazjum włókiennicze, oraz chemiczne.

Miasto nasze posiada dwa kina: Polonia i Robotnik, oraz teatr społeczny w Domu Kultury, 2 biblioteki dostępne dla ogółu obywateli: Miejska i Z. N. P., oraz kilkanaście przy szkołach i świetlicach robotniczych. Ze świetlic fabrycznych jest najlepiej urządzona i postawiona świetlica P. Z. P. B., mieszcząca się w dawnym budynku Endera. W Pabianicach są dwa szpitale: Miejski i Ubezpieczalni Społecznej.

Opracował: **Leszek Górski.**

SPORT W PABIANICACH.

Pierwsze kroki sport pabianicki stawiał w 1907 r., kiedy to zorganizowało się Towarzystwo Sportowe „Sokół". Na szerszą skalę zaczął się rozwijać dopiero po drugiej wojnie światowej w latach 1922—1923, kiedy przysłano z Warszawy specjalnego instruktora, celem spopularyzowania klubu sportowego w Pabianicach. Pierwszy klub powstał przy fabryce „Krusze i Ender", od której wziął nazwę. Należeli do niego przeważnie robotnicy, choć nie brakło tam młodzieży szkolnej. Staraniem i pracą całego koła wybudowano przy ul. Zamkowej piękne boisko, które jest dzisiaj reprezentacyjnym boiskiem naszego miasta. Później powstaje K. S. „Sokół". Staje się on wkrótce ośrodkiem sportu na terenie m. Pabianic.

Prócz tych dwóch klubów sportowych rozwija się P. T. C. (Pabianickie Towarzystwo Cyklistów) z sekcjami: cyklistów i piłkarską. Wśród przedwojennej elity sportowców polskich było wielu Pabianiczan. Już na olimpjadzie paryskiej występują bokserzy: Gerbich, Nowak i Konarzewski. Wprawdzie nie odnieśli sukcesów, ale dowodzi to, że Pabianice w tej dziedzinie sportu dzierżyły palmę pierwszeństwa w Polsce. Pabianice miały i mają również swoją reprezentantkę w osobie znanej powszechnie pani Jadwigi Wajsówny, która reprezentowała Polskę, odnosząc wielokrotnie szereg sukcesów (Los Angelos — brązowy medal, Berlin — srebrny medal i Londyn — 4 miejsce).

Rozwój sportu w Pabianicach zahamowała okupacja niemiecka. Po wyzwoleniu zorganizowały się dwa najważniejsze kluby: P. K. S. i P. T. C. Prócz tych dwóch głównych klubów powstały inne, przy organizacjach młodzieżowych, jak: Z. H. P., Z. M. P., które zgrupowały wokół siebie olbrzymią ilość młodzieży.

Szczególnie aktywnymi klubami są: P. K. S. przy P. Z. P. B., posiadający wspaniale rozwiniętą sekcję lekkoatletyczną i P. T. C., które jest obecnie w drugiej lidze. Do sukcesów naszych lekkoatletów i lekkoatletek należy zaliczyć zwycięstwo nad drugą reprezentacją Łodzi. Lekkoatletyka nasza oparta jest przeważnie na młodzieży szkolnej szkół średnich, która czyni coraz większe postępy w tym kierunku. Prócz tego mamy dużą ilość kółek sportowych, zorganizowanych przy szkołach średnich. Z tych największą aktywnością wykazuje się G. K. S. (Gimnazjalny Klub Sportowy) przy gimnazjum im. J. Śniadeckiego (przede wszystkim sekcja lekkoatletyczna i P. G. M. (Państwowe Gimnazjum Mechaniczne) z sekcją bokserską.

Do czołowych powojennych sportowców Pabianic należą: Moderówna, Peskówna, doskonały średnio dystansowiec Dychło, Krzesiński, Kun, bracia Durajscy, Szmytke i Miller.

W pierwszych Ogólnopolskich Igrzyskach Włókniarzy, P. K. S. zdobył dwa pierwsze miejsca, w sztafecie olimpijskiej i w sztafecie 4×100. Z cyklistów pabianickich największą popularnością cieszy się W. Dorożyński. Jest on zawodnikiem, znanym w całej Polsce ze swych zwycięstw i był wicemistrzem Polski do kategorii 350 cm na 1948 r.

Opracował: **Janusz Gawłowski.**

PABIANICE W PRZYSZŁOŚCI.

Wywiad z przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej.

— Jak będą wyglądały Pabianice w przyszłości? — rzuciłem pytanie prezesowi Miejskiej Rady Narodowej miasta Pabianic p. Kussie. Miły pan uśmiechnął się do nas z za biurka pokrytego stosem najrozmaitszych aktów i ksiąg.

— Co to, wywiad? — zapytał nas z uśmiechem.

Na twierdzącą odpowiedź z naszej strony, udzielił nam wywiadu.

— Chyba zacznę od tego, co was najbardziej interesuje, a mianowicie od parku, a widząc nasze zadowolone twarze, zaczął:

— Dawny park fabrykanta pabianickiego przeszedł na własność miasta. Wybudowany tu będzie reprezentacyjny stadion sportowy, przystosowany do różnych dziedzin sportu. Będą tu 3 boiska do piłki nożnej, w tym 2 do przeprowadzania treningów, a jedno specjalne do rozgrywania spotkań. Prócz tego Biuro Regionalne planuje budowę czterech boisk sportowych, w 4 stronach naszego miasta. Dalej będzie wybudowany piękny ogródek jordanowski dla naszych milusińskich i wesołe miasteczko z tysiącem niespodzianek.

Będzie tu także odcinek przyrodniczo-naukowy, na który składać się będzie palmiarnia, hodowla egzotycznych ptaków i basen dla ryb.

— Czwartą częścią naszego parku będzie zwykły park dla spacerowiczów z muszlą na koncerty.

— A kto jest projektodawcą tego wielkiego, reprezentacyjnego parku — stadionu? — pytamy podstępnie.

— Ja sam — odpowiada krótko p. Kussa. Widać, że nie lubi ten sympatyczny pan rozmawiać o sobie. Woli pracować, niż mówić i to pracować owocnie. Toteż powraca do tematu. Koszta jego parku - stadionu są obliczone w planie dziesiecioletnim na 15 mil. złotych,



Budowa nowoczesnego ośrodka kultury fizycznej w Pabianicach

z czego 5 milionów wykłada miasto, a resztę będzie stanowił fundusz społeczny.

— A jak przedstawia się skanalizowanie m. Pabianic?

— Część miasta już jest skanalizowana, resztę dokończymy w najbliższej przyszłości, stosownie do projektu planowania. Przez miasto zostanie przeprowadzony kanał t. zw. burzowiec. Będzie on pochłaniał wszystką wodę deszczową i nadmiar wody z kanałów sanitarnych. Takich burzowców w planie jest kilka. Budowa pierwszego zostanie już rozpoczęta w roku 1950, a koszty jego budowy wynoszą 27 milj. zł.

— Może nam pan coś powie o szkolnictwie?

— W planie dziesięciolecia przewidziana jest budowa dwóch nowych jedenastolatek: jedna stanie w dzielnicy staromiejskiej, a druga w okolicy parku Wolności. Realizacja planu nastąpi w roku 1951. W roku 1950 zostanie dokończony gmach Średniej Szkoły Zawodowej.

— Słyszeliśmy coś o nowym dworcu — wtrącam.

— Tak — zostanie wybudowany nowy dworzec kolejowy, ale to już należy do Państwa. Istnieje też projekt kolei fabrycznej w obrębie miasta.

— A jak się przedstawia strona życia kulturalnego Pabianic?

— Zostanie wybudowany Teatr Miejski, ale dopiero w roku 1956, brak nam bowiem jest potrzebnych funduszów. Budowę teatru miasto opiera na swoich własnych możliwościach finansowych. Gdyby nam przyszło z pomocą Państwo, teatr stanąłby grubo wcześniej.

— Zostanie urządzona Biblioteka Miejska, z czytelnią. Przeznaczono na ten cel dwa miliony złotych. Obecnie największą działalność przejawiają świetlice robotnicze przy P. Z. P. B., świetlica Fabryki Chemicznej i Fabryka Jedwabiu.

— Co jeszcze przewiduje się w 10-letnim planie miasta?

— O bardzo wiele. Zostaną wybudowane także gmachy, jak Poczta, rozmaite urzędy i Państwowy Dom Towarowy. Będą przeprowadzone boczne linie autobusowe, dla usprawnienia komunikacji. Powstanie wielka Hala Sportowa, nowa remiza strażacka. Na skrzyżowaniach ulic powstaną skwery.

Siecie elektryczne zostaną przeprowadzone pod ziemią, a zamiast słupów drewnianych staną betonowe.

Przy omawianiu każdego obiektu p. Kussa sypie, jak z rękawa fachowymi terminami i objaśnieniami. Fachowym podejściem do sprawy i wielką jej znajomością p. Kussa ujął nas do reszty.

— To wszystko zostanie wykonane w ciągu 10-ciu najbliższych lat, kończy naszą rozmowę p. Kussa.

Słowa jego są mocne, twarde i proste. Tchną wielką, niezłomną energią, napawają nas radością i pewnością, że plan zostanie wykonany w 100%. Zostanie wykonany, na pewno! Wierzymy w to! Przez okno pokoju dobiega nas odgłos syren fabrycznych. Biją mocno, twardym rytmem serca fabryk, maszyny, bije mocno serce drugiego, polskiego Manchesteru.

Uprzejmie się kłaniamy i życząc zrealizowania zamierzonych projektów, opuszczamy gabinet ob. Przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej. Wychodzimy z wiarą w człowieka i jego piękny czyn.

Opracował: **Wiesław Pietryka.**

WYCIECZKI I OBOZY

Krajoznawcze wczasy letnie w Mójczy

Sprawozdanie z turnusu żeńskiego „Krajoznawczych Wczasów Letnich" Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego Okręgu Rzeszowskiego w Mójczy, poczta Kielce, w czasie od 31 lipca do 24 sierpnia 1950 roku.

Na wczasy wyjechałyśmy 31 lipca 1950 r. do wsi Mójcza, odległej od Kielc około 5 km. Zajęłyśmy 2 budynki szkolne (starą i nową szkołę). Budynki te były oddalone od siebie o 20 m. W nowej szkole, bardziej oddalonej od wsi, przeznaczyłyśmy 4 sale na sypialnie, a w piątej małej kancelarii miałyśmy izolatkę. W starej szkole kolejno w trzech salach były: świetlica, umywalnia i jadalnia, a w dawnym mieszkaniu nauczyciela była kuchnia, pokój dla kucharki i jej pomocnicy, spiżarka i magazyn. W czasie deszczu były trudności w przejściu z budynku — no i w jadalni zaciekało. Stary dach był przyczyną kałuż w jadalni.

Pełny skład osób na wczasach to 49 osób, w tym: 42 krajoznawczynie (a to 13 z Kół Jarosławia i 29 z Kół Rzeszowa), kierowniczka, dwie wychowawczynie, kucharka, pomocnica kucharki i 2 dzieci wychowawczyń w wieku 3 i 4 lat. Intendentka i higienistka były uczestnikami wczasów.

Odbyło się sześć odpraw Rady Pedagogicznej ze współudziałem Samorządu Wczasów Letnich. Samorząd składał się z 11 osób: trzy komendantki sal, sekretarka, skarbniczka, bibliotekarka, 5 opiekunek sekcji: sanitarnej, kulturalno-oświatowej, sportowej, etnicznej i artystycznej. Uchwały odpraw podawano do wiadomości uczestniczkom przy rannym apelu, a ważniejsze sprawy omawiano na walnych zebraniach, których było dwa. Każda przewodnicząca sekcji przedłożyła plan pracy, a w ostatnich dniach sprawozdanie z podaniem wyników i powodu niespełnionych prac. Każda sala miała komendantkę, które wyznaczały kolejno 2 dyżury dziennie. Dyżurne przedstrzegały czystości sal, korytarzy. Służbowa (codziennie z innej sali) cały dzień przebywała w budynku sypialnym, czuwała nad czystością wewnątrz budynku i na zewnątrz szkoły, oznajmiała gongiem wszelkie zbiórki i pilnowała, by do szkoły nie wchodzili obcy ludzie, gdyż budynek był na uboczu bez ogrodzenia. Wszelkie zajęcia świetlicowe odbywały się na wolnym powietrzu, a tylko w razie niepogody w świetlicy.

Najpoważniejszą pracą dla środowiska było prowadzenie półkolonii dla dzieci rolników w Mójczy. Półkolonia ta trwała od 8 sierpnia do 24 sierpnia. Opiekunką dziedzińca była jedna z wychowawczyń, stałą przedszkolanką uczestniczka naszego obozu, a w miarę potrzeby pomagały jej ochotniczki z obozu, które wykazywały dużo chęci

i inicjatywy i zdolności pedagogicznych. Dzieci te dożywiano z funduszów Powiatowej Rady Narodowej, Wydział Oświaty w Kielcach. Posiłki dla dzieci przygotowywała nasza kucharka i dozorczyni szkolna w Mójczy, książki kasowe i magazynowe prowadziła intendentka.

Mieszkańcy wioski korzystali z bezpłatnej pomocy higienistki oraz lekarstw.

Urządzono cztery wieczornice i jedno ognisko. Pierwsza wieczornica odbyła się z okazji powitania wsi i pożegnania turnusu męskiego.

Drugą wieczornicę urządziłyśmy w niedzielę dla wsi. Program miał uświadomić zebranym zmiany socjalne Polski Ludowej.

Trzecia wieczornica odbyła się w sąsiedniej wsi Bukowie, w osiedlu wojskowym, dla ludności okolicznych wiosek. Kierowniczka kolonii i dzieci bardzo nas gościnnie przyjęły na terenie obozu.

Czwarta wieczornica odbyła się w ostatni wieczór pobytu w Mójczy. Pogoda dopisała i goście też. Sekretarz Kieleckiego Okręgu P.T.K. Ob. Poniewierski przyjechał dużym autem ciężarowym, wypełnionym gośćmi — członkami i sympatykami P. T. K. Przybyli również uczestnicy Kolonii Ligi Kobiet z Bukowej w liczbie 90 osób, dzieci naszego dziecińca i miejscowa ludność. Wieczornica odbyła się na podwórzu szkolnym, a w urozmaiconym programie wzięli również udział: uczestnicy półkolonii i kolonii Ligi Kobiet.

Bardzo miłe i nastrojowe ognisko miałyśmy wśród Gór Świętokrzyskich u stóp Łysicy w pobliżu schroniska P. T. K.

Pierwszy tydzień spędziłyśmy w budynku obozu. Czas ten poświęciłyśmy na pracę organizacyjną i porzadkowanie obozu. Wycieczek odbyło się 8 a to 2 pojazdami i 6 pieszych.

W pracy kolonijnej na każdym kroku spotykałyśmy się z życzliwością społeczeństwa terenu kieleckiego. Sołtys Mójczy chętnie ustosunkował się do nas. Okręg P. T. K. w Kielcach żywo interesował się naszymi poczynaniami. Wypożyczyli nam bezinteresownie sprzęt obozowy, tj. łóżka, sienniki, koce, lampy, wiadra. Prócz tego Sekretarz Okręgu zaszczycił nas swoją obecnością trzykrotnie, okazując duże zainteresowanie i wypytywał o napotykane trudności w pracy.

W czasie zwiedzania Muzeum Kieleckiego korzystałyśmy z cennych uwag ob. prof. Massalskiego, dyrektora muzeum.

Inspektorat Kielecki nie tylko interesował się naszą kolonią, ale pomagał nam materialnie. Przyszedł nam z pomocą w postaci przydziałów z Funduszu Międzynarodowej Pomocy Dzieciom.

Inspektorka Opieki nad Dzieckiem z Wydziału Oświaty Pow. Rady Narodowej chętnie przyjęła projekt prowadzenia przez nas dziecińca w Mójczy i udzieliła nam subwencji na dożywianie dzieci. Z rozmów z nią wyczułam serdeczne ustosunkowanie się do nas. Odwiedził nas też lustrator z Powiatowego Wydziału Oświaty z Kielc, udzielając w czasie lustracji życzliwych rad. Spotkałyśmy się również z życzliwością Kierownika Mleczarni w Kielcach i Kierownika Szkoły w Mójczy.

Były również i kłopoty. Dotkliwie odczułyśmy brak wody, bo studnia szkolna była zanieczyszczona, nie nadająca się do użytku. We wsi było mało studzien, a te były głębokie i o małej ilości wody. Pobliski gospodarz zezwolił nam brać wodę ze swej studni za zwrotem remontu studni. W dnie pogodne korzystałyśmy z potoczku, dopływu Lubrzanki, gdzie dziewczynki myły się, prały i plażowały. Tam też urządzało się próby w związku z wieczornicami, czytano aktualne broszury, jak: „Las", „Chleb", „Drzewo", instrukcje, regulamin P. T. K. i czasopisma.

Z powodu braku odpowiedniego pomieszczenia, miałam trudności w pracy. Mieszkałam wspólnie z wychowawczyniami i ich małymi dziećmi, co utrudniało pracę.

Uważam, że kolonia spełniła swój cel. Młodzież odżywiła się dobrze, pogłębiła wiedzę, zbliżyła się do ludu. Sekcja etniczna napisała małą pracę.

Jako wnioski wysuwam: 1) nie należy angażować do prac wychowawczych personelu, który bierze ze sobą dzieci poniżej wieku uczestników kolonii. 2) Kierownictwo kolonii samo winno dobierać personel. 3) Należy wprowadzić samorząd kolonijny, gdyż jest on dużą pomocą w pracy, a u młodzieży wyrabia zmysł organizacyjny i większe zrozumienie regulaminów kolonijnych.

Jadwiga Nalborczyk
kierowniczka Kolonii.

Od Bydgoszczy do Bałtyku

Przed wyjazdem na Wędrowny Obóz Kolarski młodzieży szkolnej Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego zmartwień jest nie mało.

Trzeba nadać rowery — już kłopot, czy zajdą i na czas? A jak uporządkować bagaż — ten wieczny bagaż, tak gnębiący każdego turystę, ale tak bardzo potrzebny, jeżeli chcesz być samodzielny aż do możliwości przespania się pod drzewem. A kwatery — czy będą kwatery, co będzie z żywnością? A może i apteczka się przyda?

Ciężko „wałęsają się" myśli po głowie. Pełno jest wątpliwości, postanowień i „niewiadomych".

Jak to w końcu dobrze, że stukot kolejowych szyn przecina jak nożem wszelkie wahania. Jedziemy do Bydgoszczy i nasze poczciwe rowery, czyli „koła' wędrują z nami.

Kwaterujemy w Bydgoszczy, w starym mieście, leżącym na krawędzi Pomorza. Bydgoszcz pocięta jest korytami rzeki Brdy. „Wenecja" bydgoska jest piękna, nad nurtem płynącej z pagórków pomorskich rzeki kuli się szereg domków schodzących się ścianami aż do samej wody. Szumi kłębiący się jaz, rybacy łowią nie dające się złapać ryby, a wierzby nieruchomo stoją nad wodą. Tuż obok Fara o niezwykłej

architekturze — stara, krzywa, budowana na raty — kiedyindziej budowano główną nawę, w innym czasie prezbiterium. W każdym razie porządny ceglany gotyk. Przy okazji warto zaznaczyć, że jest to kościół mieszczaństwa bydgoskiego — oczywiście patrycjatu. Burmistrz Łochowski na stałe „wniósł się" do tej Fary. Są tu jego nagrobki i chrzcielnica. Przynajmniej jeden kościół niezawojowany przez zaborczą szlachtę. Dobre i to. Polichromię oparto na motywach ludowych wycinanek. Kościół posiada wiele wartościowych obrazów z XVI-go wieku, między nimi obraz św. Rocha, który ongiś „bronił' od zarazy, —



Szczyt fary bydgoskiej

a obecnie rolę tę przejęły zastrzyki i medycyna, mądrzejsza w każdym razie o kilka wieków uśmiercania ludzi.

Jeżeli mowa o kościołach, wypada dodać, że w środku miasta znajdujący się kościół Klarysek służył w okresie okupacji za remizę straży pożarnej, a kościół Jezuitów Niemcy zburzyli do fundamentów i ogłosili, że zniszczony został przez lotników angielskich. Przy kłamstwach też trzeba mieć szczyptę fantazji.

Bydgoszcz posiada jeszcze jeden kościół — bazylikę — jest to nowoczesna świątynia — ogromna i ta za Niemców służyła za magazyn broni.

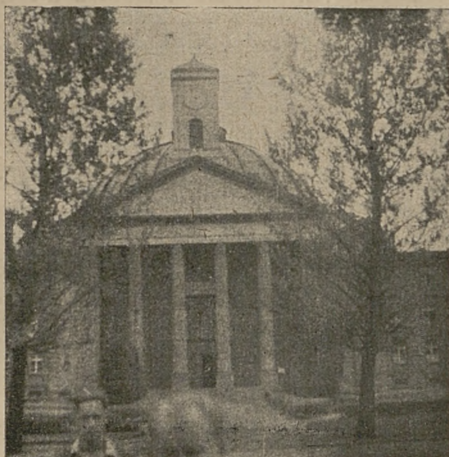
Na uwagę zasługuje muzeum. Jest w nim 900 obrazów Wyczółkowskiego, który Bydgoszcz bardzo sobie upodobał.

Na jednym obrazie widzimy dobrze znany Wyczółkowskiemu kościół Mariacki z przestawionymi wieżami — miał fantazję „stary Wyczół" — bo tak nazywali studenci kiedyś Wyczółkowskiego o gołębim sercu artystę-malarza.

Wiele z tych obrazów zaginęło w czasie wojny.

Muzeum bydgoskie ma również pamiątki wielkiej tragedii. Faszyzm znieprawił człowieka. Na ścianach wiszą okrutne w swej grozie fotografie egzekucji niemieckich — zbrodnia patrzy ze ściany.

Wróćmy do dzisiejszej rzeczywistości. Osią i szkieletem Bydgoszczy jest Brda. Wpada ona do Wisły 12 km za Bydgoszczą w Łęgowie. Rozległa jest pradolina Wisły, której dno zajmuje właśnie głę-



Bydgoszcz — Bazylika

boka tutaj, podobna do kanału Brda. Ujście Brdy do Wisły ma dwie bramy: jedna ujęta w ceglaste ściany zapory, gdzie olbrzymi żelazny walec spiętrza wodę, a spod niego wycieka iście zła hucząca woda.

Pył wodny unosi się dokoła, pachnie żywicą. Za walcem, który można podnosić i opuszczać Brda jest zupełnie uspokojona, płynie jeszcze z kilometr ładnym korytem i wpada do Wisły.

Drugie koryto — to nizinne obszerne jezioro, zakończone śluzą jednopiętrową. Przez tą śluzę berlinki, jachty, statki spływają do Wisły. Na tym właśnie jeziorze odbywają się zawody wioślarskie. Na ścianach śluzy widnieją napisy o corocznych niemal wylewach. Panuje tu zupełna cisza, dużo jest łąk i drzew. Zdala widać Wisłę — pełno na niej łach piaszczystych — na horyzoncie widnieje Fordon, a w niedostrzegalnej dali jest Toruń, Chełmno, Ciechocinek; czyli dawna ziemia Dobrzyńska.

Opuszczamy Bydgoszcz.

Ranek 7 lipca 1950 r. był wyraźnie dla nas zły. Deszcz bębnił ulewą po dachach. Ale to nie na dachówki spadały krople — to na nasze serca rozpalone pragnieniem dalszej jazdy padał przeklęty deszcz. Wreszcie nieco ustał, horyzont jest zamglony, a na niebie niskie

chmury. Jedziemy dobrym gościńcem w kierunku Świecia. Żagna nas starodrzew lasów bydgoskich — smutny miejski las, wygrabiony, bez podszycia. Droga jest zupełnie dobra. Po obydwóch stronach rzędy kwitnących lip. W Krakowie już dawno przekwitły, tutaj aż dyszą wonią miodowego kwiecia.

Jedziemy ciągle pradoliną Wisły po rozległej nizinie, dopiero pod Myślęcinkiem (Liceum Rolnicze) nizina ostro przechodzi w próg pomorski. Po pokonaniu tego progu, jak okiem rzucić, ciągnie się sfalowany płaskowyż.

Oddycha się tutaj lekko, woń pól upaja, a oczy radują się rozległością krajobrazu. Nogi lekko naciskają pedały. Jednym słowem obóz w pełnym ruchu na wielkim szlaku.

Przy m. Zbrachlin skręcamy ostro w kierunku północno-zachodnim i żegnamy doskonały gościniec. Przed nami Pruszcz Pomorski. Jest to miejscowość zupełnie taka, jak tysiące innych wsi pomorskich. Dla nas pamiętna jedynie tym, że zjedliśmy w niej „karkówkę" ugotowaną dnia poprzedniego. Z tą „karkówką" też była historia. Wysłany po konserwy gularzowe Kaszuba, kupił żywe mięso zwane karkówką. Był z tego powodu krzyk, ale w końcu karkówe spożyto z wielkim apetytem. Nawet było jej za mało. Tak się zakończyła „burza kuchenna Nr 1".

Jedziemy na Szewno i Błądzim. W drodze chwyta nas ulewny deszcz. Kubeczka rani sobie rękę — w ogóle był to akrobata rowerowy.

Dobrze już po południu dobijamy ścieżkami leśnymi do nadleśnictwa Wierzchlas nad jeziorem Mukrz. Nadleśnictwo zostało spalone. Obecnie jest w odbudowie. Obok jeziora Mukrz znajduje się słynny rezerwat cisów: 1500 drzew cisowych.

Musimy te wszystkie cuda przyrody obejrzeć. Po to właśnie tu przyjechaliśmy. Rezerwat cisowy porasta niezbyt rozległe i pofałdowane wzgórze. Od północy wzgórze to schodzi na poziom jeziora, które oddziela się od lądu pasem moczaru porośniętego trzciną. Dokoła są podmokłe łąki i sosnowy las. Za jeziorem widać wieś o charakterystycznej nazwie Cisiny. Ludność miejscowa, zapytana o rezerwat najczęściej wskazuje tylko na tę wieś Cisiny. Stąd możemy sądzić, że nazwa jest stara.

Cisy, bardzo stare drzewa — ogromnie twarde o gołej gładkiej korze. Jedni ich wiek liczą na 1000, inni na 800 lat. Czyżby te poskręcane, pokryte szeroką krótką igłą drzewa pamiętały, średnio biorąc czasy Mieszka I? Możliwe. W każdym razie cis posiany z owoców tego właśnie rezerwatu nie rośnie. Cis posadzony w parku jako drzewo ozdobne, rośnie — i to zagadka.

Prawdopodobnie tysiąc lat temu było tych cisów więcej — obecnie podmokły teren, obfitość wilgoci w podłożu utrzymuje te cisy przy

życiu. Tam, gdzie teren tracił wilgoć — tam cis zamierał wyparty przez sosnę, której zmiana podłoża w zupełności odpowiadała. Te sosny panoszą się i obecnie w rezerwacie. Olbrzymie gładkie sośniska, po 300 lat każda, rozpiera skarłałe cisy, zabiera im słońce i dławi Leśnicy, myślę, dadzą sobie z tym radę.

Obok nadleśnictwa „zatrzęsienie" jemioł — na każdej gałęzi, na pniach wszędzie jemioły.



Zaułek Tucholski

Kwaterujemy w leśniczówce — śpimy na sianie. Jest nam bardzo dobrze. Jedno jest tylko złe — deszcz — nie deszcz — coś jakby z sita gęstego sączy się pył wodny i od czasu do czasu przechodzi w ulewę.

W tym pięknym dniu śród lip rozkwitłych i pachnących łubinów przejechaliśmy lekko 75 km.

Żegnamy cisy — bezdrożami Borów Tucholskich, po twardych ścieżkach leśnych jedziemy na Tucholę. Niezrównana jest taka właśnie wędrówka po ścieżynach wąskich wśród sosnowego lasu. Obóz się wydłuża, ludzie znikają na zakrętach, gubią się w dolinach, zdala odcinają się ostro ich sylwetki na wzgórzach. Obóz w akcji. Prostokąt Rynku w Tucholi ma na środku zieleniec otoczony starodrzewiem — to miejsce starej fary rozebranej przez Niemców. Dokoła rynku biegną wąziutkie charakterystyczne uliczki: Zamkowa, Murowa — a w resztkach starego zamku mieszczą się urzędy. Ludność częściowo rolnicza — częściowo robotnicza żyje z przemysłu drzewnego. Znajduje się tu również Liceum Pedagogiczne.

Jedziemy w kierunku północnym na Czersk. Szosa jest doskonała, ale wiatr północny ma też coś do powiedzenia. Teren pagórkowaty, jakby idący gościńcem przez podłużne wzgórza morenowe, co w sumie utrudnia drogę. Jadąc, mijamy jeziora i piękne lasy sosnowe.

W Komorzy Wielkiej za Tucholą stare kobiety przędzą na kołowortkach, jak za dawnych czasów, a w Klocku przed Czerskiem pojawiają się chaty pokryte słomą z krzyżulcami na szczytach strzech. I tak już będzie na zmianę, gonty walczą ze słomianą strzechą.



Wdzydze — Muzeum kaszubskie

Sam Czersk liczy 7 tys. mieszkańców. Klimat ma suchy. Jest to miasteczko robotnicze. Mieszkańcy jego pracują w miejscowych tartakach i w przemyśle drzewnym. Kwaterujemy w szkole, korzystając z gościnnego przyjęcia kierownika szkoły. Następnego dnia poprzez bezdroża zaczynającej się obok Karsina i Borsów Kaszubszczyzny z trudem przez Szałamaje i Olpuch dobijamy do Wdzydz Kiszewskich. Drogi tutaj są złe — krótko dadzą się scharakteryzować jako piach i las. Piękny sosnowy las pachnie, rower z trudem przewija się ciasną ścieżyną. Łatwo tu zbłądzić i zgubić kierunek właściwy. Tymbardziej, że kierunkowe dla nas jezioro Gołuń odchodzi od drogi na południe i nie można go widzieć przez cały czas jazdy.

Same Wdzydze Kiszewskie — to ulicówka, zapadły i „zabity deskami" kąt. Chaty na wyżynie wzdłuż jedynej drogi. Droga ta spada w zapadlinę łączące dwa jeziora. Potem znowu droga dźwiga się na stałowane wzgórze i dochodzi do jeziora Krzyż. Nad samym brzegiem jeziora są dwaj gospodarze — jeden mieszka w baraku niemieckim.

Drugi ma chałupę stuletnią, pokrytą słomą — na szczycie strzechy krzyżulce.

Gospodarstwa są tutaj zaniedbane — narzędzia prymitywne. Studni brak — wodę pije się z jeziora. Nie tylko zresztą ryby łowi się w jeziorze. Wyławia się również w znacznej ilości małże, którymi tuczy się świnie i drób. W jeziorze pełno raków, które szczególnie wieczorem nawiedzają brzegi jeziora i płytkie wody. Raki te jednak nie są jadalne.

Wdzydze Kiszewskie posiadają okazy starców zgrzybiałych, którzy poza granice wsi nigdy się nie wychylali.



Wdzydze kiszewskie — stara chałupa

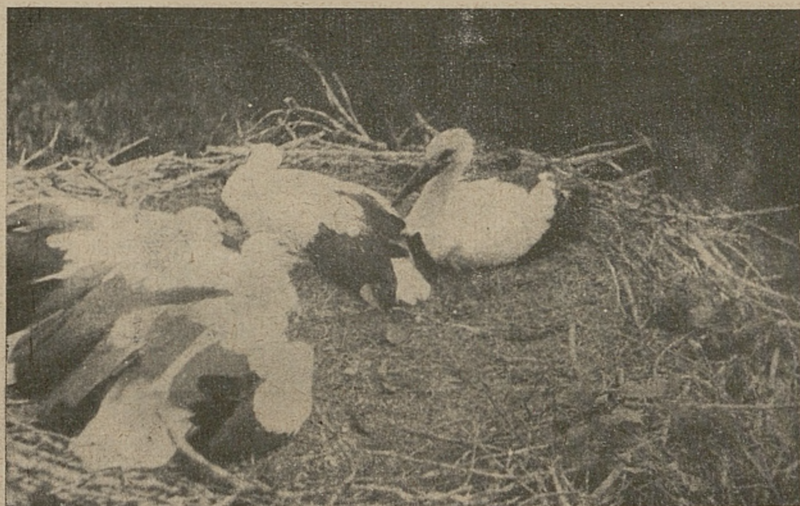
A na wzgórzu nad jeziorem, pochowany jest tutaj nauczyciel Gulgowski, niestrudzony zbieracz osobliwości muzealnych kaszubskich. Pierwsze muzeum spaliło się doszczętnie — obecne muzeum znajduje się w nowym budynku, posiada sprzęty regionalne — okazy przemysłu ludowego. Pilnuje tych zbiorów żona Gulgowskiego, Teodora, 90-letnia krzepka jeszcze staruszka. Gulgowscy to niestrudzeni ludzie, którzy z szaf, z kufrów kaszubskich i ze strojów gromadzili rysunkowe ornamenty, jako motywy, z których komponowali piękne hafty kaszubskie. Hafty te były bezkonkurencyjne na wystawach międzynarodowych w wykonaniu w barwie i w oryginalności ujęcia rysunkowego. Obecnie Gulgowska żyje w opuszczeniu.

Oryginalne chałupy wdzydzkie są kryte albo gontem albo słomą. Na szczytach posiadają piękne ornamenty, odpowiedniki pazdurów podhalańskich. Niektóre z tych chałup mają po sto lat. Język pomieszany z niemieckim, np. gordina, szturufla — jako firanka i pończocha — wy-

kazuje typowe cechy dialektu kaszubskiego, obfituje w staropolskie wyrazy, np. posowa — sufit, sklep — piwnica; czółno — łódka i t. d.

Ziemniaki oczywiście na Kaszubach nazywają się bulwy. Ziemia tutaj piaszczysta i marna — kłosy rzadkie.

Wieczorem palimy ognisko i gotujemy ziemniaki — do brzegu idzie mała fala, dym przebija się przez gęste liście napół obalonej topoli. Nadchodzi lipcowa dysząca oparami jeziornymi noc.



Wdzydze Kiszewskie — gniazdo bociauie

Chłopcy dojadają resztek prymitywnie ugotowanych ziemniaków. Coraz bardziej ciemnieje wielkie rozlewisko wody. Dzień ścieżyn leśnych, dzień jezior i błądzenie kończymy śpiewem.

Ranek lipcowy bywa wczesny. Kiedy wstaliśmy o godzinie 4-tej słońce wielkie i błyszczące było już nad horyzontem. Wodę pokrywała mgła. Przez Węglikowice zagubionymi ścieżkami sosnowego lasu jedziemy na Kościerzynę. Są tu właściwie bezdroża, droga rozpoczęta w okresie międzywojennym gubi się w piaskach leśnych. Mijamy pięknie położony Grzybowski Młyn i obok zgrupowanych po obydwóch stronach drogi jezior wjeżdżamy w kościerzyńskie lasy. Gościniec poprawia się widocznie — jazda staje się przyjemna.

Kościerzyna od strony południowej styka się bezpośrednio z lasem. Niepostrzeżenie wjeżdżamy do miasta. Wszyscy jakby na komendę zatrzymują się przed „Barem Mlecznym". Prymityw i lekka głodówka wdzydzka wymagały uzupełnienia.

Od Kościeżyny do Wieżycy przez Kaliską i Szymbark dojeżdżamy bez przygód, ale z trudem. Droga dźwiga się łagodnie do góry. Nogi pracują ciężko. Wieżyca 329 m nad poz. m. jest najwyższym wzniesieniem na obszarze Pomorza. Rośnie tu piękny las mieszany, miejscami sosna ustępuje bukowi. Na szczycie wzniesienia znajdują się dwie olbrzymie wieże, z których widać ogromny szmat ziemi. Na północny wschód w niektóre dnie można dojrzeć Gdańsk, a od północnego zachodu zieleń leśną uzupełnia błękity wygiętego w łuk jeziora Ostrzyckiego.



Klasztor w Kartuzach

Bardziej na północ rozciąga się Szwajcaria Kaszubska, a za grzbietem podłużnego wzgórza pokrytego lasem ukrywa się jezioro Raduńskie. Lasy Wieżycy posiadają również olbrzymie mrowiska.

Od Wieżycy do Kartuz — droga jest zupełnie łatwa, spada w nizinę po 6-ciu serpentynach. Upał 10 lipca był niesamowity.

Uwaga turysty w Kartuzach koncentruje się na Muzeum Kaszubskim i na klasztorze. Jedno i drugie warte zachodu. W muzeum są sprzęty kaszubskie, hafty, portrety, plany zagród. Muzeum ma ambicje odtworzenia całości życia Kaszubów. Zato klasztor króluje nad okolicą swoimi zabytkami — są w nim rzeźby zupełnie równe rzeźbom Wita Stwosza, — jest olbrzymi kowalski zamek w drzwiach zakrystii i wiele innnych ciekawych szczegółów. Ale na pobliskim cmentarzu wszystkie nagrobki polskie zniszczone, a na krzyżach żelaznych polskie litery ścięte. Czasem można je jeszcze odczytać. Tak faszyzm znieprawił duszę niemiecką. Obok klasztoru jezioro, a dalej w stronie południowo - zachodniej jeszcze dwa. Jest to w ogóle kraj jezior. Jeziora są stare, dostęp do nich trudny, ptactwo wodne czuje się tu dobrze. Kwaterujemy przy ul. Chmielnej u Kaszuba Kuchty. Rozmowny to człowiek i oryginalny — od niego dowiadujemy się, że woda w jeziorach Kartuskich kwitnie

W lipcu nagle woda w tych jeziorach staje się zielona, jak trawa. — Kąpiel w takiej wodzie kończy się owrzodzeniem.

Zachód słońca oglądamy z góry Prezydenta w Szwajcarii Kaszubskiej. Wielka struga słoneczna drga na Raduni — obok błyszczy jezioro Białe. Przesmykiem pomiędzy jeziorami biegnie polna droga na Chmielno — słynne ceramiką kaszubską. Z Chmielna widać jak na dłoni wysadzany drzewami gościniec. Prowadzi on na północ, gdzie łączy się z gościńcem głównym, wiodącym od zachodu do Kartuz. Dobrze jest nasycić oczy widokiem jezior rozległych i warto na to poświęcić trochę sił, choćby to było połączone z błądzeniem po lasach Kartuskich.

Z Kartuz do Gdyni jest dobra droga, chociaż miejscami prowadzi przez pustkowia i tylko w jednym miejscsu przecina wąski pas lasu. Krajobraz typowo pomorski, pofalowany wzgórzami płaskowyż wpadający w końcu w nizinę nadmorską.

Gdynia obecnie leczy rany. Zabytków w niej brak. Może tylko stary dom, w którym mieszkał działacz kaszubski Abraham. W porcie ruch — praca nurków, wydobywanie wraków, wzmacnianie nadbrzeży i mozolna budowa zniszczonego falochronu. Gdynia wciśnięta w dolinę pomiędzy Kamienną Górą a Kępą Oksywską wydłuża się w kierunku Chylonii poprzez Grabówek.

Właśnie słów kilka o tym Grabówku — przedmieściu północno-zachodnim.

Centrum Gdyni rozbudowane z rozmachem, kończące się od strony morza pięknym Skwerem Kościuszki — tam na Grabówku ma swój odpowiednik proletariacki. Drobni ciułacze i kapitaliści budowali na małych parcelach potworne domy, w ciasnocie gnieździła się nędza. Całość sprawia wrażenie okropne. Każdy domek, jak barak — ale barak inny. Dobijanie się fortun na przedmieściach i wyzysk nędzy święciły tam swój triumf. Z jednym wyjątkiem. Są tam obszerne zabudowania i solidne. To Syndykat Emigracyjny. Kto chciał wyemigrować — ten musiał przejść przez monopol sprzedający ludzi. Ten Grabówek dawny powinien zniknąć.

Poprzez Chylonię i Rumię jedziemy na Redę. Rzeka płynąca przez tę miejscowość nosi tę samą nazwę. Jest to bystra rzeka pomorska, biorąca swój początek za Wejherowem. Płynąc obraca wiele młynów, właśnie od Redy przez Wielką Dolinę nadmorską wpada do Zatoki Puckiej. Tuż za Redą droga się dźwiga ostro w górę i wdziera się mozolnie na Kępę Pucką, przecinając piękne lasy mieszane.

Po pokonaniu pochyłości płaskowyżu, oddychając rzeźkim nadmorskim powietrzem, jedziemy na stare miasto Puck. Zamarły możnaby powiedzieć Puck z pięknym Rynkiem i olbrzymim kościołem, króluje w leniwej Zatoce Puckiej.

Pełno w nim domków, charakterystycznie zbudowanych — szczególnie w dzielnicach poza Rynkiem. Zdala widnieje nadmorskie Rzu-

cewo. Dokoła Rynku pełno spółdzielni, a obok nich Zakład Państwowy naprawy maszyn rolniczych.

Piękne są jeziora kaszubskie, zagubione po lasach sosnowych, jeziora o piaszczystych brzegach, o toni przejrzystej i głębokiej. I lasy mają swój urok nieodparty, zwłaszcza, kiedy na polanach zaczyna kwitnąć gęsto rosnący wrzos — ale wielkiego oddechu otwartego morza nic nie zrówna. Właśnie patrzymy na skłębione morze u nasady Helu. Na jałowej plaży Bałtyku słuchamy wiecznego szumu przewalających się fal. Nareszcie jesteśmy i tu. Długim zakosem biegnie falochron Władysławowa w morze, w studzienkach falochronu tłucze się woda.



Wielka Wieś — stare domy

Nad wieczorem wracają z połowu kutry — port rybacki żyje, tętni pracą.

Za chwilę złowione ryby powędrują w świat. Zapłoną latarnie Władysławowa i nad pustynią wodną zapanuje czarna noc. Kwaterujemy w stodole.

Potem jeszcze przejechaliśmy wyżynę nadmorską na Rozewie — Jastrzębią Górę. Tu na tym wysokim brzegu, skąd Hel widać jak na dłoni, ziemia wędruje do morza. Wędruje jarami wyżartymi przez wodę, porosłymi srebrną wierzbą nadmorską, albo spada wielkimi blokami podmytej przez fale ziemi. Osuwa się masyw gliny połamany w wielkie bryły i zdąża do morza. Rozewie się broni pierścieniem betonowego umocnienia i głazami, o które drą się rozbiegane fale. Zatopiona tutaj łódź podwodna też spełnia rolę łamacza fal. Raz po raz rozbija się o jej stalowy kadłub nadbiegająca fala. Jastrzębia Góra z pięknym

lasem i plażą już nie jest tak pyszna jak dawniej. O nie — podcięto skrzydełek luksusowej miejscowości, w której nie sprzedawano turystom przed wojną chleba. Powietrze, wodę, lasy — wydzielano tu za gruby pieniądz.

Dzisiaj rozgwar dziecięcych kolonii uzupełnia głuszę nadmorską, a w dawnych pensjonatach wypoczywają ludzie pracy. Odnalazł zwyczajny, szary człowiek drogę do morza.

Za Jastrzębią Górą droga gwałtownie spada w nizinę Błot Bielawskich, a całe morze wdziera się w ląd ugięty ku południowi. Słońce oglądane w momencie zachodu ginie w wodzie. Brzeg porosły nędznym lasem zamienia się w las wydmowy i wreszcie między Karwią i Dąbkami trzeba było umocnić brzeg betonem. Błota Karwińskie były nieraz atakowane przez fale. Odwadniająca niezbadane dotąd moczary Błot Bielawskich rzeka Czarna wpada do otwartego Bałtyku ujściem nieustannie zamulanym przez napór wody morskiej. Zmęczeni wracamy do pensjonatu turystów t. zn. do stodoły — dobra była ta stodoła, czysta i obszerna.

Jeszcze jeden wypad badawczy do piaszczystej Jastarni — żegnamy Bałtyk poranną kąpielą i zaczynamy odwrót.

W Swarzewie wielki odpust kaszubski. Kiedy się widzi te stoiska pełne tandetnych towarów i Kaszubów zdążających na odpust z Helu boso z butami na plecach, ten natłok ludzi, gwizdki, piszczałki — wtedy czuje się związek Kaszubów z Polską — z jej ludem, który ma takie same tradycje. Jeszcze chyba tylko tutaj koło Swarzewa można zobaczyć, jak spotykające się figury odpustowe różnych świętych niesione w procesji w takt muzyki wykonują taniec, oddając sobie wzajemnie pokłony. Ten zwyczaj panuje chyba tylko tutaj.

Jedziemy na Zelistrzewo Mrzezino do Rewy. Od Mrzezina droga gwałtownie spada w dół i krętym łukiem prowadzi w poprzek doliny Redy. Wszędzie łąki — droga zła. Jedziemy dosłownie po sianie, które wiatr rzucił na drogę. Piękne jest pustkowie i opuszczenie tej doliny. Rzadko gdzie można spotkać człowieka. Stosy torfu, kopy siana wskazują na to, że tu był. Przecinamy jeszcze raz rzekę Redę, i po, wydawałoby się ogromnie długiej drodze pniemy się pod górę na Pierwoszyno, a stąd przez Mosty znowu dosłownie wpadamy w zapadłą wieś, Rewę. Interesuje nas w pierwszym rzędzie Szpyrk. Jest to długi jęzor usypany z piasku przez fale zatoki, biegnący od Rewy do Kuźnic w stronę Helu wałem podmorskim. Ten wał, który w niedługim czasie odetnie zachodnią część Zatoki Puckiej i stworzy z niej zamknięte jezioro przekopany jest właśnie w okolicy Rewy i Kuźnic.

Tylko tędy możliwa jest żegluga Pucka. Na samym końcu Szpyrku mieszają fale morskie gruby żwir — dalej leży zmielony na mąkę piasek, schnie pełno wyrzuconej trawy morskiej, a na kępach olbrzymie gniazda

szerokiej wydmuszycy piaszczystej. W zagłębieniach kryje się oset nadmorski Mikołajek.

Zdala widać Mechelinki.

Żegnaj Załoko w najbardziej opuszczonej części pobrzeża. Przez Kosakowo i Chylonę wracamy do Gdyni.

W końcu Skweru Kościuszki twarzą zwróceni na wschód, w stronę Załoki Gdańskiej z miejsca, gdzie kończy się nadniszczone nabrzeże Gdyni pożegnaliśmy morze zasłuchani w jego oddech. Trzeba było odjeżdżać. Nadajemy rowery w ciasnocie dworca gdyńskiego i znów słuchając stukotu żelaznych kół, wracamy do domu.

Nie zapomnimy jednak tych dni pełnych trudu, nasyconych czarem nie dającej się niczym objąć przestrzeni wolnej — taka jest bowiem istota i logika wielkiego szlaku wędrówki kolarskiej.

Wycieczka do Puław

Reportaż uczniów klasy XI Państwowej Szkoły Ogólnokształcącej Stop. Lic. w Pionkach, z wycieczki przyrodo-krajoznawczej do P.I.N.G.W w Puławach w dniu 15-go września 1950 roku.

Wspaniale zapowiadał się dzień, w którym wycieczka nasza postanowiła zwiedzić Puławy, miasto z bogatą przeszłością, a zapewno i bogatą przyszłością. Wycieczka nasza, trzeba to powiedzieć dla zaspokojenia ciekawości Czytelników, wyruszyła z Pionek, kierowana była przez PP. prof. I. Józefowicz i W. Rabszytna, miała charakter wycieczki przyrodniczej w pierwszym rzędzie i krajoznawczej.

Już w pierwszej przechadzce z puławskiego przystanku kolejowego do miasta, scharakteryzowaliśmy Puławy jako miłą dziurę o nowozałożonych chodnikach i panującej zieleni. To jest właśnie bardzo ważna cecha, która winna zachęcić przybyszów do dłuższego odpoczynku po kilkumiesięcznej pracy.

MIASTO TAJEMNICZE.

Co sprawia, że Puławy, mała zresztą miejscowość, otoczona jest w oczach ludzi, mających jakie takie obycie krajoznawcze nimbem tajemniczości?

Oto proszę Was... (zwrócone do laików), przez różne szpary dochodzą do szerokiej publiczności głuche wieści, jakoby w Puławach działy się rzeczy dziwne: rósł ryż, bawełna, rosły drzewa miczurinowskie, powstawały mapy gleb Polski... Radzę wszystkim, którzy nie wierzą, by jak najprędzej udali się tam i zobaczyli to, „czego oko ludzkie nie widziało, ucho nie słyszało".

TROCHĘ HISTORII.

Jak historia nas uczy, w Puławach, istniejącym od dawna mieście, zbudowano w XVII wieku zameczek obronny, spalony potem przez Szwedów w roku 1730 stał się po kilkudziesięciu latach siedzibą książąt Czartoryskich. Pałac ten po rozbudowie stał się w ciągu rozbiorów ośrodkiem kultury polskiej. Przebywali tutaj swego czasu: Kniaźnin, Niemcewicz, Paweł Woronicz i wielu innych. Niezwykła nawet po dziś dzień atmosfera znakomicie wpływała na powstawanie ich cennych utworów literackich. W pałacu tym mieszkały oprócz tego takie znakomite osobistości, jak Tadeusz Kościuszko (o czym świadczy pamiątkowa tablica), car Aleksander, z powodu nawet którego Puławy przemianowano na Nową Aleksandrię. Wszystkie mapy z tego okresu, między innymi kilka znajdujących się w muzeum regionalnym w Puławach, świadczą o tej niepośledniej, zresztą krótkotrwałej zmianie historycznej. Drugie przemianowanie pałacu nastąpiło w roku 1840.

MIASTO INSTYTUTÓW.

Przed samym wybuchem powstania styczniowego margrabia Wielopolski założył w Puławach, właśnie w wyżej wymienionym pałacu „Instytut Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa". Po półwiekowej działalności Instytut ten w r. 1914 przeniesiono do Charkowa. Niedługo jednak Puławy pozostawały bez Instytutu. Już bowiem w r. 1918 przy pomocy szczupłych środków utworzono Instytut do dziś istniejący. Instytut ten nosi nazwę „Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego". Działalność jego, jak wkrótce nasza wycieczka się przekonała, promieniowała i promieniuje szeroko na cały świat.

W INSTYTUCIE.

Ogólny wygląd Instytutu to czworobok, złożony z piętrowych domów i jak zapewniali nas przygodni przewodnicy, wyglądający zupełnie inaczej w czasach książąt Czartoryskich.

Wchodzimy do jednego z działów Instytutu. Jest to dział bardzo ciekawy i bardzo ważny dział chemii agrobiologicznej.

Zaaferowany kierownik działu prowadzi nas do sali, w której od razu spostrzegamy rekordową ilość kuchenek gazowych i elektrycznych. Na jednych coś się praży, na innych gotuje, jeszcze inne stoją bezczynnie. Rezygnujemy jednak z oględzin na własną rękę, bo rozpoczyna się właśnie wykład. Kierownik działu opisuje w tej chwili kolejne procesy próbek gleby zaczerpniętej z różnych punktów terenu. Oglądamy z podziwem ciężką gablotkę, w której przykładowo (i chyba tylko dla zwiedzających) rozłożona jest gleba na takie składniki, jak piasek, glina, sole itd. Pod każdą próbówka z poszczególnym składnikiem gleby, umieszczone są liczby, wyrażające w procentach ilość

tego składnika. Dowiadujemy się także o różnych prażeniach gleby i wynikach.

W innym miejscu tejże pracowni bada się glebę pod względem zawartości pewnych pierwiastków, jak np. boru, magnezu, sodu, które jak zapewnia nas kierownik, są konieczne glebie, aby była urodzajną. Na jednej z półek stoi właśnie kilkaset kolb z wodą o różnych zabarwieniach, co świadczy o procentowej zawartości pewnego pierwiastka w różnych glebach.

Udajemy się do kreślarni i tam oglądamy wiele bardzo czułych przyrządów, między innymi znajduje się tu bardzo czuła waga, ważąca, jak twierdzi obsługa, z dokładnością do dziesiątych tysięcy części grama.

Ciekawą wiadomością, której poprzednio udzielił nam kierownik działu agrobiologicznego, a której potwierdzenie znajdujemy na wielu mapach, rozmieszczonych na ścianach kreślarni, jest wiadomość o kreśleniu mapy gleb całej Polski. Dowiadujemy się, że mapy niektórych województw, jak np. białostockiego i kieleckiego są ukończone. Obecnie terenowcy dostarczają próbek gleb z całego Podkarpacia.

Po zwiedzeniu b. bogatej biblioteki rolniczej Instytutu, obejmującej ponad sto tysięcy tomów, wyruszamy na zwiedzenie dalszych dziwów Puław.

EGZOTYCZNE ROŚLINY.

Wycieczka nasza udaje się na pola doświadczalne. Po drodze (tuż przed polami), oglądamy machinę, która jak się później dowiedzieliśmy z ust przewodniczki, służy do nawadniania pól ryżowych. Za chwilę znaleźliśmy się właśnie koło tych pól. Niektórych uczestników wycieczki ogarnia lekkie rozczarowanie... Ryż owiem wcale nie wygląda atrakcyjnie. Poprostu pędy zielonych roślin, o wysokości około 1 metra, przypominające pewien gatunek naszych traw z kiścią dojrzewających już nasion.

Oglądamy szereg tych pólek i dziwimy się, czy coś z tego będzie. Na groblach (ryż rośnie w dole) widzimy bawełnę, wyglądającą z daleka na wszędobylską jeżynę. Gdzieniegdzie bielą się na niej kwiaty.

Przewodniczka mówi o ryżu. Doświadczenia nad jego aklimatyzacją prowadzi się w Puławach od roku 1949. Początkowo roślina ta nie spełniała nadziei. Zaczęto sprowadzać nasiona z różnych krajów i okazało się, że najlepszym, najbardziej odpowiednim dla polskiego klimatu jest ryż bułgarski. Bawełna, dopiero pierwszy rok udała się jako tako. Stwierdzono podobno, że nasiona otrzymane z poprzednich polskich zbiorów ryżu, uodporniły i bardziej przystosowały się do naszego klimatu. Przewodniczka objaśnia, że istnieje ryż wysoce uodporniony w Związku Radzieckim.

Wielu z uczestniczek i uczestników wycieczki ciekawi, czy możliwe jest to, by ryż był uprawiany w Polsce na szerszą skalę.

— Myślę, że tak — odpowiada przewodniczka — w każdym razie dotychczasowe wyniki każą być pełnym nadziei. Gleby, zwłaszcza nad Wisłą, okazały się odpowiednie pod uprawę tej rośliny — kończy przewodniczka.

Opuszczamy pola ryżowe i rzucamy ostatnie spojrzenie na wysokie słoneczniki, których wiele rośnie wokoło pólek ryżowych w celu zasłonięcia ich przed wiatrami.

ŚWIĄTYNIA SYBILLI.

Zbliża się południe. Wyruszamy do parku. Spotykamy tu wiele zabytków i romantycznych zakątków.

Najsławniejszym zabytkiem w Puławach jest niewątpliwie świątynia Sybilli, zbudowana w roku 1800 na wzór świątyni Sybilli w Tivoli pod Rzymem, przez księżnę Izabellę Czartoryską. Świątynia ta była dzięki staraniom księżny pierwszym muzeum polskim. Znajdowało się tu wiele narodowych pamiątek, przeniesionych obecnie do muzeum Czartoryskich w Krakowie. Sama świątynia Sybilli jest dziś zaniedbana i opuszczona. Podobno jednak, ma być odnowiona i urządzona, jak dawniej.

Pięćdziesiąt metrów dalej położony budynek, to muzeum regionalne. Zbiory nie są obfite, w każdym razie spotykamy tu wiele starych ksiąg, aktów, pieczęci, miedzio- i drzeworytów. Powszechną uwagę wycieczki zwraca także umieszczona w westybulu księga pamiątkowa, na której stronach zwiedzający wpisują swe nazwiska.

Oglądamy florę parku, stwierdzamy, że istnieją tu piękne alejki i odpoczywamy w cieniu na ławeczkach. O godzinie 13-tej odwiedzamy bary mleczne i gospody ludowe... (niżej podpisani udzielają pochwały gospodom ludowym w Puławach).

Spożywamy szybko obiady. O wpół do drugiej wyruszamy do Nowej Niwy, odległej od Puław trzy kilometry.

SADY MICZURINOWSKIE.

Po nudnym pochodzie dochodzimy do Nowej Niwy. Napotykamy na ogrodzenie z drutu, w nim bramę i furtkę. Na bramie napis: Sady Doświadczalne P. I. N. G. W. Przebywamy trzysta metrów i znajdujemy się w obrębie kilku domów. Zostawiamy nieliczne bagaże i wyruszamy z przewodniczką do sadów.

Oglądamy tysiące przeróżnych gatunków jabłoni, skrzatów o metrowej wysokości, ociężałych od wspaniałych jabłek. Niektórym uśmiechają się oczy na ten widok, zwłaszcza amatorom (kwaśnych jabłek...) Spostrzegamy roślinę z owocami, które niesposób opisać: czerwone,

mniejsze od gruszki sadowej, niespotykanego kształtu... Dziwujemy się, jak takie małe drzewka mogą owocować w pierwszym roku swego istnienia. Spotykamy niezliczoną ilość młodo zaszczepionych drzewek. Na każdym drzewie wisi tabliczka z łacińską nazwą danego drzewka.

Przechodzimy do grusz, w międzyczasie jednak obserwujemy pewne drzewka z owocami, jak gdyby wielkich jagód, lekko czerwonych — z pestkami w środku. Liście... trudno określić, do jakich podobne.

Spotykamy tysiące grusz, tyle tylko, że te w przeciwieństwie do jabłoni, nie posiadają owoców. Oczy bolą od odróżniania gatunków. Niestety, znajdują się już osoby, które nie słuchają wykładu pani przewodniczki. A tu tyle jeszcze do zwiedzenia! I znowu jakieś drzewka, znowu słyszymy o krzyżowaniach, uodpornieniach, uszlachetnieniach. Dowiadujemy się, że celem Instytutu jest wyprodukowanie na zasadzie nauk Miczurina drzew owocowych, które dawałyby dużo i dobrych owoców. Instytut zajmuje się także uodpornieniem takich gatunków roślin, które u nas nie rosną, dają jednak doskonałe owoce. Stosowany jest szeroko system mentorstwa, tj. wychowywania jednych drzewek przez inne. W dalszym ciągu mijamy warzywa, winogrona, trawy, jeszcze coś i jeszcze coś... No i nareszcie koniec. Raczymy się rajskimi jabłuszkami i odpoczywamy.

Ponieważ czas na pociąg, ruszamy w kierunku stacji. Kupujemy bilety. Odjeżdżamy ze śpiewem na ustach. Opuszczamy miasto dziwów, miasto, które przyniosło nam wiele nowych wrażeń. Opuszczamy miasto Woynow i Czartoryskich, miasto lochów i zieloności...

Pionki, dnia 28 września 1950 r.

Napisał: **Mieczysław Wróbel.** — Materiału dostarczyli: **Stefan Gorczyca** i **Wilk Wiesław.**

ORLI LOT ukazywać się będzie nadal. Prenumerata roczna rok 1951 wynosi zł. 9.—. Należy ją przysyłać na konto P. K. O. IV. 1411/113 Orli Lot — Kraków.

Prosimy o wyrównywanie wszelkich zaległości.

„Orli Lot" Adres Redakcji i Administr.: Kraków, Bohaterów Stalingradu 48. Konto PKO. IV-1411/113 Prenumerata roczna 9 zł, półroczna 4·50 zł, cena jednego n-ru wraz z dodatkiem Komitetu Ochrony Przyrody Polskiej Akademii Umiejętności 0·90 zł, cena podwójnego numeru 1·80 zł.

Adres Ośrodka Krajoznawczego **Bohaterów Stalingradu 48.**

Wydaje: Polskie Tow. Krajoznawcze Redaktor Leopold Węgrzynowicz.

PKZG 19, ul. Sarego 7 — 811 12 1 51 — M-1-22153 — 3 500



Bezp atny dodatek do N-ru 10, 1950 r. miesięcznika krajoznawczego „Orli Lot“

JERZY FABIJANOWSKI

„Drzewo ginące“ cis
(Taxus baccata)



Prawie każdy z nas zna cisy sadzone w celach dekoracyjnych w parkach i ogrodach.

Cis posiada zaokrąglona, krzaczastą, nisko osadzoną koronę, korę szarowiśniową, gładką, łuszczącą się cienkimi płatami. Szpilki cisa są ustawione na pędach dwubocznie, są miękkie, krótko zaostrzone, z wierzchu ciemnozielone, lekko połyskujące, na dolnej stronie jasnozielone, matowe.

Cis jest jedynym gatunkiem dwupiennym spośród naszych drzew szpilkowych, to znaczy posiadającym męskie i żeńskie kwiatostany na różnych drzewach. Liczne „męskie“ czyli pręcikowe kwiatostany widoczne są już w jesieni na dolnej stronie jednorocznych pędów w postaci zielonożółtych, okrągłych pączków. „Żeńskie“ kwiaty ukazują się też jesienią na tegorocznych pędach i są zbliżone wyglądem do pączków liściowych. Nasiona cisa są wielkości grochu, twarde i prawie czarne, otoczone czerwoną słodkawą osnówką, która nadaje nasieniu wygląd jagody.

Niektóre gatunki ptaków jak np. drozdy i kosy chętnie spożywają mięsistą, smaczną osnówkę a wydalają niestrawione nasiona. W ten sposób przyczyniają się one do rozsiewania nasion cisa.

Dzięki wielkiej ilości pączków śpiących, cis posiada rzadko spotykaną zdolność tworzenia odrośli. Rośnie bardzo powoli i w wieku kilkuset lat (a nawet 1000 lub więcej) osiąga przy znacznej nieraz grubości najwyżej 15—20 m wysokości.

Drewno cisa o pięknym ciemnobrązowym twardzielu, posiada wysokie wartości techniczne, jest bowiem twarde, trwałe i bardzo elastyczne. Barwa drewna właściwa cisowi jest tak szczególna, że określa się nią inne przedmioty (np. mówi się o „cisawym" koniu).

Charakterystyczną cechą cisa jest obecność w szpilkach, nasionach i drewnie trującego alkaloidu zwanego taksyną. Osnówka nasienna nie posiada natomiast żadnych trujących składników. Zwierzęta domowe są szczególnie wrażliwe na taksynę: 180 do 200 gr szpilek cisa wystarcza do zatrucia konia lub owcy.

Przez terytorium Polski, w pewnej odległości od naszej granicy ze Związkiem Radzieckim, przebiega wschodnia granica naturalnego zasięgu cisa. Na zachód od niej był cis w dawnych wiekach charakterystycznym składnikiem naszych lasów, występując jako domieszka i tworząc w nich mniej lub więcej rozległe i zwarte podszyty. Szczególnie licznie występował cis w Karpatach i na Pomorzu rosnąc swobodnie zwłaszcza pod okapem buków.

Drewno cisowe było w dawnych czasach używane nie tylko do sporządzania łuków i kusz, ale też i narzędzi codziennego użytku (rzeźb, ozdobnych skrzyń, skrzynek itp.). Drewno cisowe należało również do produktów wywożonych przez Polskę za granicę.

Wskutek wspomnianego już powolnego wzrostu i słabego przyrostu na grubość, trudności w odnawianiu się z powodu jego dwupienności a przede wszystkim wskutek nadmiernego zużycia drewna na potrzeby wewnętrzne i na eksport, cis należy obecnie w naszych lasach do rzadkości i jest gatunkiem chronionym ustawowo.

Do najpiękniejszych okazów zabytkowych cisów polskich należy sławny „Cis Raciborskiego" w Harbutowicach koło Lanckorony. Mierzy on przeszło 2,3 m obwodu. O wiele grubsze cisy rosną w wilgotnym klimacie Anglii i Irlandii. Jeden z tych cisów w miejscowości Tisbury osiągnął około 11 m obwodu. W jego spróchniałym pniu mogło się pomieścić 17 osób.

Największe skupienie cisów w Polsce, chronione jako rezerwat przyrody, znajduje się w Wierzchlesie w powiecie świeckim, województwie pomorskim. Rezerwat ten położony malowniczo nad Jeziorem Mukrz i obejmujący powierzchnię 18,5 ha z 4137 okazami cisa różnego wieku, zwiedzają w okresie letnim liczne wycieczki szkolne z całego kraju. W porównaniu z cyframi przedwojennymi stwierdzić można w tym rezerwacie znaczny ubytek cisów wynoszący około 1200 sztuk. Głównym powodem ubytku była wojenna gospodarka okupacyjna. Ponadto zauważono, że cisy w Wierzchlesie nie odnawiają się naturalnie już od kilkudziesięciu lat. W celu wyjaśnienia powodów tego zjawiska przeprowadza się obecnie na terenie rezerwatu zespołowe badania naukowe, których częściowe wyniki ukażą się wkrótce w druku.

Nakładem Komitetu Ochrony Przyrody Polskiej Akademii Umiejętności

Druk. PKZG-17 zam. 479. 4. 12. 1950. M-1-27812 — 4.000